

ESENCJA

KRZYSZTOF BONK



ESENCJA
KRZYSZTOF BONK

Redakcja: Beata Wojciechowska-Dudek

Korekta: Maria Osińska

Projekt okładki: Agnieszka Radzięda

Konwersja wydania elektronicznego: Tomasz Semmler

ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7853-438-9

Wydawnictwo: self-publishing

Wszelkie prawa zastrzeżone

e-wydanie pierwsze 2017

Kontakt: krzysztofbonk.poczta@gmail.com

PROLOG

Set młody już nie był. Jego monstualna kiedyś klatka piersiowa zapadała się coraz bardziej, za to pęczniejący brzuch dopominał się regularnie o kolejne dziurki w pasie. Włosy i broda, niegdyś ciemne i bujne, były teraz przerzedzone, zarysowane srebrem przez czas, coraz obficie pojawiały się w uszach i w nosie. Set zdawał sobie sprawę, że on, jeszcze nie tak dawno dumny wojownik, stawał się ciapowatym misiaczkiem. Świadomość ta była niczym gwóźdź do trumny jego stanu umysłu, w którym od szesnastu lat stale pobrzmiwało tylko jedno słowo: katastrofa.

Mijał akurat miesiąc, odkąd opuścił Astorię, swoje rodzinne strony, i udał się na wschodnie wybrzeże Kontynentu Upadłych. Im dłużej trwała ta wyprawa, tym częściej zadawał sobie pytanie, dlaczego w ogóle się w nią zaangażował, obierając tak niepopularny turystycznie kierunek. Zwykle pierwszym powodem, jaki sobie uświadamiał, było wspomnienie rodzimej ziemi, przypominającej mu o goryczy doznanych porażek.

– Tak... Sama mnie, jędzo, wygnałaś – wymyślał jej w takich chwilach. Potem doznawał olśnienia: przecież wyruszył, ponieważ przypadła mu do gustu nazwa przemierzanego kontynentu, tak dobrze korespondująca na ten czas z jego wewnętrznym, jak i zewnętrznym stanem. Na zakończenie rozważań był skłonny założyć się o własnego rumaka, że podróż ta od początku miała li tylko i wyłącznie jeden cel – egzotyczne samobójstwo.

Tymczasem droga, którą podążał, okazała się nad wyraz nużąca, ponura i dramatycznie wręcz monotonna. Wiodła przez bezkres wymarłych przestrzeni, gdzie Set nie napotykał żadnych istot ludzkich. Z żywych istot

widował tylko lemingi, które wraz ze skończeniem się prowiantu na stałe zagościły w jego menu jako danie główne. Na domiar złego, mimo że trwała wiosna, to od rozpoczęcia tułaczki towarzyszyła mu powracająca nawałnica śnieżna, jakby rozmyślnie obrała go sobie za cel do dręczenia. Ogólnie od początku wędrówki panował ziąb i wiatr, a równinny krajobraz nie dawał przed niekorzystną aurą żadnego schronienia. Na efekty nie trzeba było więc długo czekać i zarówno Set, jak i jego koń błyskawicznie podupadli na zdrowiu.

– Cóż za chwalebna, pseudoromantyczna podróż, nieprawdaż, koniku?
– mówiąc to, Set skulił się wobec wzmagającej się burzy śnieżnej, smagającej go niczym bicz za sprawą huraganowych podmuchów wiatru. Rozejrzał się po bezkresnej równinie w nadziei dostrzeżenia jakiegoś schronienia. Nie był jednak w stanie zaobserwować niczego poza białym całunem śniegu.

– A teraz jeszcze to... – wycharczał i wyrzucił z siebie całą gamę podejrzanych dźwięków, sugerujących, że zamierza wypluć palące go od dłuższego czasu płuca. Wylał ręką pasemka śliny spływające z ust. Poklepał po boku ledwo człapiące pod nim z wyczerpania zwierzę i kontynuował rozpoczętą tyradę: – Tak więc, Gniady... Mogę ci mówić Gniady? – Set odczekał dłuższy moment. Brak oznak sprzeciwu ze strony wierzchowca uznał za przyzwolenie. – Tak więc, Gniady... Wybacz, że wyciągnąłem cię na tę straceńczą wyprawę, z której zapewne już nie powrócimy, albowiem, jak wiesz, nie mamy już ani do czego, ani do kogo wracać... – Set pomyślał, że jechać także nie mają dokąd, ale zapobiegawczo postanowił przemilczeć ten drobiazg przed koniem. – Widzisz, Gniady... Mieć tak wiele jednego dnia, a następnego obudzić się i nie mieć praktycznie nic – kogo by taki los nie złamał? – Dygoczący z zimna mężczyzna złapał się na tym, że czeka, aż koń

coś mu odpowie. Najlepiej, gdyby objawił przed nim jakąś prawdę ponadczasową.

„A tak w ogóle... Rozmowa z koniem?!” – zreflektował się nagle. Doszedł jednak do wniosku, że innego rozmówcy może już w życiu nie uświadczyc. Może więc nie ma co grymasić i wypada wziąć z życia to, co jeszcze pozostało, nawet jeżeli miałyby to być rozmowa z koniem.

– Jak się czujesz, Gniady? – spróbował znów zagaić. Wtedy zorientował się, że Gniady już nie jest gniady: wlokący się noga za nogą koń był całkowicie pokryty szronem.

„Może wypadałoby teraz mówić do niego Siwy?” – Te rozważania przerwał Setowi napad morderczego kaszlu, który próbował tamować zgrabiałą z zimna dłonią. Kiedy atak się skończył i chciał powrócić do filozoficznych dociekań, zauważył, że ręka, którą zasłaniał usta, pokryła się siateczką czerwonych kropeczek. – W mordę, Gniady, chyba złapałem gruźlicę... – Ledwo wypowiedział te słowa, wstrząsnął nim kolejny atak kaszlu. – Musimy się zatrzymać, Gniady, poszukać schronienia, zbudujemy igloo... – odezwał się Set z narastającą nutą hysterii w głosie. Czuł, jak całym jego ciałem targają zimne dreszcze, a przy każdym wydechu z płuc wydobywają się podejrzane świszczące dźwięki. „Co za katastrofa” – pomyślał. – Katastrofa, słyszysz mnie, Gniady? Prawdziwy upadek!

W chwili, w której wypowiedział ostatnie słowo, pod koniem ugięły się nogi i żałośnie parskając, rumak przewrócił się na ziemię, przygniatając zmarzniętym cielskiem nogę dosiadającego go jeźdźca.

– Cholera, ale boli... – zaskamlał przygwożdżony podróżnik. W końcu udało mu się wyszarpnąć przygniecioną kończynę. Niestety próba ustania na

niej skończyła się bolesnym niepowodzeniem. Podejrzewał, że noga była złamana, i to więcej niż w jednym miejscu.

Natomiast burza śnieżna wzmagała się, jakby przystępowała z Setem do ostatniej rundy walki, by decydującym ciosem, niczym bokser, posłać go ostatecznie na ziemię.

– Chcesz zatańczyć? Myślisz, że już mnie masz?! – Set pogroził pięścią kłębiącym się na niebie chmurom, po czym podczołgał się do swego ekwipunku. Wyciągnął z niego krótkie ostrze i rzekł podniośle do leżącego zwierzęcia: – Wybacz, gniado-siwy przyjacielu, ale każda przyjaźń, niezależnie, jak wzniosła, musi się kiedyś skończyć. Żałuję, że nasza w takich okolicznościach... – I rozplątał rumakowi brzuch, sadowiąc się ochoczo w wylewających się, parujących na zimnie wnętrznościach, by uciec od przesywającego na wskroś chłodu. Wtulał się w rozharatane zwierzę coraz mocniej, aż cały znalazł się w jego wnętrzu.

Było wilgotno, ciepło i miękko. „Prawie jak z kobietą w łóżku” – pomyślał Set z rozrzewnieniem. Lecz po pewnym czasie niemal czystej błogości poczuł, że końskie trzewia zaczęły stygnąć. Wyczołgał się ze swego sanktuarium i zanurkował w ekwipunku. Wydobył z niego garść drobnych, suszonych bobków pewnych małych gryzoni. Marzył o ogniu, chociaż jednej, małej iskierce. Nagle z przerażeniem stwierdził, że reszta zapalek, jakie posiadał, przemokła od końskich wydzielin. Podobnie jak i on sam. Znow coraz bardziej dygotał.

– Młody Traper, Młody Traper... – szeptał drżącym głosem Set, gdy przetrząsał zawartość nazwanego tak plecaka. Znalazł tam dwa krzesiwa i tłukł nimi bez opamiętania nad garstką suszonych bobków. Aż uświadomiwszy sobie absolutną beznadziejność swego położenia, zaprzestał tej czynności.

Upadł obok rumaka i patrząc, jak płatki śniegu pokrywają odchody lemingów, zastanawiał się, o czym pomyśleć w ostatnich chwilach życia. I tym razem nie było wyjątku. Gdy tylko zamknął oczy, myśli przyszły same. Te same, co od ostatnich szesnastu lat...

Pierwsze obrazy, sielankowe dzieciństwo, rodzinny folwark, rodzice, zwierzęta, radość i śmiech, dziecięce zabawy. Następnie młodość, Akademia Mieczy, doskonałe wyszkolenie bojowe, jeszcze skuteczniejsza indoktrynacja. Walka wyłącznie pod sztandarem własnego księcia, walka szlachetna i honorowa. Klapki na oczach, zatyczki w uszach, okropieństwa wojny to mit słabych ludzi. Nadmiar hipokryzji jednak z czasem męczy, uwiera pod zbroją. Prośba do księcia, kierunek: ochrona factorii handlowej na Dzikich Wyspach. Są tam piraci, handel niewinnymi. Set uderza, niech żyje wolność. Tak, wśród uwolnionych jest ona, wybucha wielka miłość, a po ośmiu miesiącach rozwija się dziecko w łonie matki, mające niebawem po raz pierwszy zobaczyć blask słońca. Natomiast kolejnego dnia jest ranny Set, na spalonym moło, we krwi swoich kompanów, odprowadzający wzrokiem porwaną żonę, niknącą na horyzoncie z wrogą flotyllą.

Ale to nie koniec, to początek końca. Rozpoczynają się poszukiwania, zbyt drogie, zbyt nieskuteczne. Set zostaje najemnikiem, to oznacza pieniądze, lecz te się kończą. Potrzeba ich więcej. Jest prosta droga: to kłamstwo i zdrada, przyjaciel z nożem w plecach, nagła zmiana frontu, zadenuncjowana kochanka. Pojawiają się pieniądze, a potem ich nie ma, efektu także. Są konsekwencje, przykre, bolesne. Brak pracy, ostracyzm, pogarda, obca flegma ponownie na twarzy.

Zapadła już noc. Po śnieżnej zamieci nie zostało ani śladu, tak jakby jej nigdy nie było. Białą równinę wzięli we władanie absolutny spokój oraz jego

towarzyszka, przejmująca cisza. Set spojrział w górę, by na bezchmurnym niebie po raz ostatni przyjrzeć się migotliwym gwiazdom. Jego oczy zaszkliły się. Pomyślał o utraconej żonie i z tęsknotą w głosie wyszeptał:

– Będę na ciebie czekał, kotku...

I wtedy pochłonęła go ciemność.

I. ESENCJA SERCA

Set powoli otworzył oczy. Przymglone światło, lekki zapach kadzidła, cisza, nie wieje, nie jest zimno. Zdziwiony zsumował myśli: „A więc zamknięta przestrzeń. Wydaje się, że jakiś namiot. Dobrze, poruszę się troszeczkę”. Przechylił głowę w prawo, w lewo, spróbował wierzgnąć nogami. Bez powodzenia. Leżał na plecach, a kostki i nadgarstki miał skrupowane sznurami, połączonymi z wbitymi w ziemię palikami. I na dodatek... był całkiem nagi. „A więc korekta: jest bardzo źle, czyli nic nowego”. Ta myśl wywołała w nim potężną falę kaszlu, zakończoną pojawieniem się na ustach wielce niepożądanego czerwonej pianki.

Kiedy przeszły mu spazmy, zauważył, że obok ktoś siedzi i wpatruje się w niego intensywnie. Była to mała, siwa, naga i niewyobrażalnie pomarszczona staruszka. „Niewątpliwie wiedźma” – pomyślał. Patrzyli tak na siebie nawzajem dobre kilka chwil, aż zdesperowany Set podjął wyzwanie.

– Ekhm... Witam... – powiedział i znowu dopadł go atak kaszlu. Najwidoczniej z jakichś niewiadomych przyczyn ten wziął się na Seta, aby ograbić go z ostatnich strzępów jego osobistego uroku. – Dziękuję za ocalenie. Jestem... przyjacielem – trudził się dalej leżący mężczyzna. Nie wywołało to

jednak żadnej reakcji ze strony staruszki. Tkwiła nieruchoma niczym słup soli i tylko spoglądała na niego: to w oczy, to na okolicę serca, nic więcej.

Zrezygowany Set rozejrzył się po namiocie. Całkiem duży, w kształcie kopuły, a wszystko w nim wydawało się przesadnie stare. Powłoka podszyta skórkami w celu ocieplenia wnętrza, porozstawiane w nieładzie słoiki z paproszkami, zwisające na linkach korzenie, poczerniała, dyndająca u góry lampka naftowa. Słowem: nic nadzwyczajnego, typowe legowisko wiedźmy. Rozczarowany odkryciem, Set na powrót wpadł w przygnębienie.

– Czy... – Chciał właśnie ponowić próbę konwersacji, gdy dziarska staruszka jednym susem wskoczyła na niego i usiadła na nim okrakiem. Zszokowany Set, zdając sobie sprawę z ich nagości, wpadł w histerię. „Tylko nie to! Nie chcę tak odejść! Umrę zajeżdżony na śmierć przez niezaspokojoną od dziesięcioleci jędrę!”

Wydawało się, że już gorzej być nie może, aż nagle staruszka wyciągnęła spod leżącej na ziemi skórki rzeźnicki nóż. Wzniesiony do góry, dumnie załśnił swym blaskiem w jej pomarszczonej dłoni.

– Poczekaj! Daj mi chwilę! Nie jestem ostatnio w formie, może jakaś kusząca bielizna? Jakies zioła?! – wykasływał kolejne słowa Set, wstrząśnięty przebiegiem takiej gry wstępnej.

Nie zdążył nic więcej powiedzieć, bo staruszka wbiła mu nóż w okolicę serca i zaczęła robić obszerne nacięcie.

– Aaaaggr! – wydarł się przerażony mężczyzna, naprężając ciało niczym strunę. Naprawdę nigdy by nie przypuszczał, że chwilowy brak potencji stanie się prawdopodobną przyczyną jego zgonu.

Kiedy miał już rozplataną klatkę piersiową, staruszka niespodziewanie zaatakowała samą siebie. Wbiła nóż nad swoim pomarszczonym pępkiem i rozcięła się aż do gardła.

„Oto mój ostatni przebłysk świadomości” – pomyślał Set. „Pewnie bym zemdłał, widząc to, co zobaczyłem, gdybym właśnie nie umierał...”

Ponownie ogarnął go mrok.

*

Set powoli otworzył oczy. Przymglone światło, lekki zapach kadzidła, cisza, nie wieje, nie jest zimno. Zdziwiony zsumował myśli: „A więc zamknięta przestrzeń. Wydaje się, że jakiś...”

– Nie! – krzyknął przeraźliwie i skoczył na równe nogi. Pełen najgorszych obaw spojrzął na swoje ciało, a wtedy ogarnęła go fala błogostanu. „Jakaż niewyobrażalna ulga. Nie ma nawet zadrapania, a klatka piersiowa wygląda dobrze, nawet zbyt dobrze” – pomacał mięśnie piersiowe, które z nieznanых przyczyn podwoiły swoje rozmiary. Co ciekawe, dopiero co zgruchotana kończyna rwała się wręcz do tańca. Set spróbował zakasłać. Wydawało się, że po chorobie płuc nie zostało ani śladu.

Rozejrzał się po wnętrzu namiotu. Nie zauważył nikogo. „Dobrze, nawet bardzo dobrze”. Był nagi, a wciąż miał w pamięci ostatnie, makabryczne sceny.

Wyszedł na zewnątrz. Przywitała go bezbrzeżna, przyprószona śniegiem równina. Krajobraz, jakim karmił się przez ostatnie tygodnie. Jałowa pustka ze wszystkich stron.

– W mordę! – wrzasnął nagle i odskoczył jak oparzony.

Dostrzegł wypatroszone zwłoki jego niedoszłej kochanki. Wstrząśnięty Set wrócił do namiotu i zastygł, próbując zebrać myśli. „A więc byłem na otwartej przestrzeni, a potem znalazłem się tutaj, czyli musiałem zostać przeniesiony. Tak, to musiało być dzieło staruszki. Później było to szaleństwo, orgia z nożem. Jednak to ja żyję, a ona nie. Do tego czuję się jak nowo narodzony. Czyżbym miał do czynienia z aniołem? Raczej nie. Wygląd i metody trochę trudne do zaakceptowania. Hm... Być może było ze mną tak kiepsko, że zaważyły względy ambicjonalne i poczciwa staruszka postanowiła wypruć sobie flaki, byle tylko przywrócić mnie do świata żywych? Ha! Słowem: ambitna bestia! Chociaż... Niby w jaki sposób sterta jej wnętrzości miałyby mi pomóc?”. Nie... To wszystko nie trzymało się kupy. Coś tu było nie w porządku i podpowiadało mu, że lepiej się stąd zabierać, i to jak najszybciej.

Set dokonał szybkiej rewizji namiotu. Sukces! W kącie znalazł swoje ubranie i ekwipunek. Z samym ubraniem się poszło już gorzej. Puściło kilka szwów garderoby wokół torsu i na ramionach. Za to wyjątkowo luźno zrobiło się w okolicach brzucha. Następnie Set zarzucił na siebie plecak Młody Traper i swój łuk. Zaopatrzył się w pozostały oręż: krótkie ostrze i młot bojowy, czule zwany Alfredem. Zestaw noży wciąż znajdował się w kieszeniach jego kurtki. W takim rynsztunku gotów był do dalszej podróży.

Staął u wejścia do namiotu. Już chciał pognać rażnym krokiem przed siebie, kiedy dopadła go klątwa przeszłości. Iść, ale dokąd? Iść, ale po co? Może wyglądał i czuł się teraz niczym młody bóg, zdolny przenosić góry, lecz jego wola i umysł pozostały niemal do cna wypalone. Zaś myśl, że kolejne lata mógłby spędzić na jałowych poszukiwaniach żony, odebrała mu resztki entuzjazmu. Na jej odnalezienie stracił już bowiem dawno wszelką nadzieję.

Przez chwilę odwrócił się nawet z wyrzutem ku zwłokom staruszki. „Może lepiej byłoby, gdybym rzeczywiście zginął?”. Niestety, nie widział dla siebie w tym życiu żadnych sensownych, a zarazem osiągalnych celów.

W końcu pierwotny instynkt przetrwania zmusił go do wykonania ruchu. Poczłapał więc smętnie, noga za nogą, do przodu. Nie uszedł nawet kilkunastu kroków, gdy usłyszał lodowato zimny, młody, kobiecy głos:

– Stój.

Staął jak wryty i wykonał piruet. Nikogo nie zauważył, a staruszka nadal leżała rozplątana koło namiotu i raczej nie wyglądała na zbyt rozmowną. Set pomyślał, że od nadmiaru ekstremalnych wrażeń zapewne się przesłyszał. Zrobił ostrożnie jeszcze jeden krok i z ulgą przyjął panującą ciszę. Pewniej wykonał następny, po czym usłyszał ten sam głos:

– Stój. To zły kierunek, idziemy prosto na zachód.

Set błyskawicznie powtórzył piruet, zdając sobie sprawę, że na tych odludnych pustkowiach wyglądał niczym kiepski tancerz. Lecz na horyzoncie i tym razem nie było żywego ducha. „Chyba tracę zmysły” – pomyślał zdezorientowany. Patrząc podejrzliwie na truchło staruszki, postanowił jednak podjąć grę z najwyraźniej płatającym mu figle umysłem.

– Na zachód, tak? Doskonale, właśnie zamierzałem się tam przespacerować. A czemu pani nie widzę? Jest pani może duchem?

– Nie musisz wiedzieć, nie powinieneś wiedzieć, nie teraz – odezwał się beznamiętny głos.

Zdecydowanie nie takiej odpowiedzi spodziewał się Set. „Albo właśnie oszalałem, albo mogę mieć problem nieco innego rodzaju” – pomyślał i aby zmanifestować swą niezależność, odwrócił się z premedytacją we wschodnią

stronę. Niespodziewanie przy próbie uczynienia kroku stracił czucie w całym ciele.

– Co znowu, u diabła? – zachnął się.

– Bez mojego pozwolenia nawet tchu nie zaczerpniesz.

– Wolne żarty...

– Powinniśmy już iść. – Głos dał do zrozumienia, że nie jest zainteresowany pogawędką.

– Nie, nie, nie. Będę tu stał, aż zdechnę, albo puścisz mnie wolno.

– Pomożesz mi w czymś, potem odejdiesz.

Set z zadowoleniem przyjął fakt, że jego groźby zmusiły to „coś” do podjęcia negocjacji. Postanowił więc ponownie dowiedzieć się, z czym lub też z kim ma do czynienia. Choć nabierał podejrzeń, że to duch owej demonicznej staruszki z namiotu. Nie mogło być innego wyjaśnienia tego koszmarnego fenomenu.

– Czy możesz ukazać mi swoją postać? – zapytał i zastygł w oczekiwaniu, spodziewając się wizerunku jakiejś piekielnej diablicy.

– Nie posiadam postaci, ty natomiast posiadasz w sercu moją esencję. Dzięki temu manifestuję swoją wolę w przestrzeni twego umysłu i panuję nad twoim ciałem. Tyle. Teraz ruszajmy.

Set starał się przetrwać te informacje i z każdą chwilą, gdy coraz lepiej je rozumiał, narastał w nim opór wobec wiedzy z namiotu, a obecnie w jego głowie. Nabrał już bowiem przekonania, że to musiała być ona.

– Wiesz, chyba nie chce mi się z tobą gadać. Sram na to... Agrrhhaa! – Nagle poczuł, jakby jego umysł poraził piorun. – Bolało... Tortury, co? Zobaczmy. Jeszcze nie wiesz, ile ja potrafię... Aaarrggg! – Kolejne wyładowanie, silniejsze, zważyło go z nóg na kolana. Set złapał się za głowę,

odnosząc wrażenie, jakby zagotował mu się mózg w czaszce. Kiedy ból ustąpił, przemówił, tym razem jęklwym tonem: – Poczekaj, posłuchaj... Nieważne, co tam masz do zrobienia. Ja się do tego po prostu nie nadaję. Na co dzień mam depresję, myśli samobójcze i ochoczo szukam śmierci. Co prawda ładnie mnie ktoś odrestaurował i, jak domniemam, to twoje dzieło, ale przy pierwszej potyczce sam się radośnie nadzieję na ostrze włóczni. Dlatego mam dla ciebie rozsądną propozycję. Znajdziemy ci innego misiaczka. Zwrócisz mi wolność, a z nim będziesz sobie maszerować na zachód, choćby dookoła świata. Co ty na to?

– To musisz być ty, nikt inny, już postanowione.

– Ale czemu, do diabła?! – Set tupnął ze złości nogą jak obrażona dziewczynka.

– Nie musisz wiedzieć, nie powinieneś wiedzieć, nie teraz.

„Znikąd ratunku” – pomyślał mężczyzna, bezradnie zwieszając głowę, i odezwał się markotnie:

– Zrobimy to zadanie i zwrócisz mi wolność, cudownie... A jakie to zadanie?

– Nie musisz wiedzieć, nie powinieneś wiedzieć, nie teraz.

– Srać na to! Czyli mam być tylko tępym osiłkiem od brudnej roboty, a jak nie, to będziemy tu siedzieć i dla zabicia czasu będziesz smażyć mi mózg, tak?! Ech... A karczmarka Bef ostrzegła, że Kontynent Upadłych to raczej kiepski pomysł...

– Będziesz mnie także uczył.

– Czego, do diaska? – To wszystko zaczynało być zbyt absurdalne.

– Wyjmij Alfreda.

– Skąd wiesz, u diabła, o Alfredzie?! – Set poczuł się odarty z ostatnich resztek swej intymności. Nie dość, że miał w głowie wiedźmę, to na dodatek znała ona imię jego najlepszego przyjaciela.

– Widzisz ten głaz na lewo? Uderz go z całych sił.

– Proszę – warknął Set. Akurat miał wielką ochotę wyładować złość i walnąć w cokolwiek z całej siły. Wziął potężny zamach i uderzył głowicą młota centralnie w kamień, odłupując pokaźny kawałek. „Nieźle, nawet za najlepszych lat nie miałem takiej krzepy” – pomyślał.

– Zrób to raz jeszcze.

– Po co?

– Zrób!

Set nie miał ochoty na błyskawicę penetrującą mu wnętrze czaszki. Chwycił młot i z furią zatopił go w skale, tym razem rozpryskując ją na drobne kawałeczki, których część z impetem wystrzeliła w górę.

– W mordę! Co to było?! – wrzasnął, wstrząśnięty nagłym wzrostem swojej potęgi.

– Synchronizacja naszej woli. Za drugim razem moja wola podążyła za twoim ruchem.

– Więc chcesz uczyć się walki? Wiedźma-wojownik? – Set pokręcił głową, nie kryjąc wątpliwości, i dodał zaintrygowany: – Czy ty także możesz zainicjować ruch, a moja wola może podążyć za nim?

– Tak. I mogę pokierować twoim ciałem, jak chcę i gdzie chcę, i w każdej chwili mogę zgasić twoją świadomość niczym blady płomień świecy, pograżając cię w wiecznym mroku. Ale wówczas oboje na tym stracimy. Dlatego potrzebuję zarówno twego ciała, jak i twej woli.

Set z trudem przełknął ślinę. Wyglądało na to, że był ugotowany. Nie twierdzi, że jej pomoże. Było oczywiste, że jej nie pomoże i przy pierwszej okazji wypali ją z umysłu żywym ogniem. Ale na ten czas i tak nie miał, gdzie się udać, a perspektywa posiadania popcornu zamiast mózgu nie napawała optymizmem.

– Zatem dobrze, ruszajmy na zachód – odparł.

– Na zachód... Powinieneś wiedzieć coś jeszcze.

– Tak? – Set nabrał nadziei, że tajemniczy głos poinformuje go, że niebawem wyrosną mu skrzydła i nie będzie musiał trudzić się marszem.

– Nie musisz ciągle kłapać szczęką. Wystarczy, że intencjonalnie skierujesz do mnie słowa w umyśle. Usłyszę cię wtedy tylko ja, tak jak ty obecnie jako jedyny możesz słyszeć mnie.

– Rozumiem, fascynujące... – skwitował rozczarowany Set, udając, że ziewa. Naraz ponownie stracił czucie w ciele. – Ale co, do cholery, tym razem?

Głos nie odpowiedział. Zaś ciało Seta przykucnęło i spod kamienia na ziemi wyciągnęło dwa kolczyki w kształcie łezki, o krwawo rubinowej barwie. Set poddawał się tej tyranii z zaciekawieniem, gdy raptem załała go fala grozy.

– Nie, proszę, nie rób tego. Jeśli chcesz, to usmaż mi znowu mózg, ale nie to, błagam – skamlał, domyślając się, co jego ciało uczyni ze świecidełkami. Na próżno. Zaostrzonymi końcówkami kolczyków przebił małżowiny uszne i wpiął w nie rubinowe ozdoby. Gdy to zrobił, odzyskał kontrolę nad ciałem. – Wiem, że jesteś kobietą, ale to już przesada... Po co to? Mam rozumieć, że zaraz zza jakiegoś krzaka wyciągniesz wstążki, koronki i kusą spódniczkę, tak? I jak to sobie wyobrażasz? Że w takim rynsztunku będę nacierać na oddziały zbrojne, wymachując młotem bojowym? Przeciwnicy

umrą z zażenowania, zanim któregoś dopadnę, i tyle sobie powalczysz – roztkliwił się.

– To się przyda.

– Przyda, oczywiście, a jak zapytam, do czego, to zapewne usłyszę, że nie muszę wiedzieć albo że nie powinienem wiedzieć.

– Tego ci nie powiem.

– O! Jakież to, w mordę, urocze! Dziękuję za szczerość. Rozumiem. Kolczyki, babskie sekrety – o tym to ze mną nie pogadasz. Ale jak będziemy przedzierać się przez wrogie hordy, zabijając na lewo i prawo oraz tonąc w morzu krwi, to potem chętnie ze mną usiądziesz i przy lampce wina podzielisz się wrażeniami, co?

– Zrządzisz.

– A ciekawe, jak ty byś się zachowywała, gdyby ktoś zrobił z ciebie marionetkę i pociągał radośnie za sznureczki, gnieźdząc się w twojej głowie? A tak w ogóle, to jak ty się nazywasz? Masz jakieś imię?

– Lili.

– Lili? Tak się nazywasz? Co to za imię dla wiedźmy?

– Nie jestem wiedźmą.

– A kim...? – Set poczuł, jak przeszły mu ciarki po plecach.

– Tego ci nie powiem.

– Więc tamte zwłoki...

– To nie moje.

– A czy... to twoja sprawka? – Set wskazał na pokrojoną staruszkę.

– Tak.

– No to niezłe z ciebie ziółko, Lili. Wręcz przebieram nóżkami na myśl o podróży z tobą. Ech, co za koszmarny dzień... – Set pomyślał, że chyba

najgorszy od szesnastu lat, gdy stracił żonę i dziecko. To wspomnienie go przygasiło. Złagodniał i postanowił się również przedstawić. – Jestem...

– Set. Wiem. Jesteś Set. Czekałam na ciebie. – Zamurowało go.

– Skąd mnie znasz???

– Obserwowałam cię.

– Długo?

– Od roku.

– Roku... – Set przywołał w pamięci ostatni rok swego życia. Rok absolutnej nędzy, hańby i rozpacz, kiedy był cieciami w pewnej mordowni, a większość kiepskiego zarobku po prostu w niej przepijał. Był to taki zamknięty obrót gotówki. – Ooo, to sobie pooglądałaś, Lili. Czyli rozumiem, że wpadłem ci w oko. Doskonale, ruszajmy zatem na zachód – odparł i pomyślał: „Tu ją mam. Nie mogła mnie obserwować, bo nikt nie zainteresowałby się takim żalonym śmieciem, jakim w ostatnich latach się stałem. A skoro tutaj kłamała, to wszystko, co od niej usłyszałem, mogło mijać się z prawdą. Pójdę z nią. Nie mam wyboru, ale będę uważał. Tak, będę bardzo uważał”.

II. STRATEGIA GENERAŁA FEDA

Był piękny wiosenny poranek. Na astoriańsko-rossalińskim pograniczu rozpoczynał się urzekający swą urodą dzień. Wszędzie, jak wzrokiem sięgnąć, rozpościerały się kobierce zielonej trawy, przyozdobione mozaiką zakwitających kwiatów, których różnorodna woń przyprawiała o zawrót głowy. W przestrzeni dominował nadgorliwy śpiew ptaków. Wzbijały się one

ku błękitnemu niebu i nurkowały w koronach drzew, aby pośród nich kontynuować swe miłosne trele.

W takiej niemal baśniowej scenerii znalazł się blisko pięćdziesięcioletni generał Fed. Był on człowiekiem przeciętnej postury: ani za grubym, ani za chudym, średniego wzrostu, prezentującym na twarzy niezwykle bujną, czarną brodę oraz bokobrody kontrastujące perfekcyjnie z łysą czaszką. Stał on dumnie na wzgórzu przed rossalińską twierdzą Sara, obleganą przez jego astoriańską armię. Miejsce to zapewniało generałowi dokładnie to, co cenił najbardziej: doskonały przegląd taktyczny pola walki oraz bezpieczny dystans od wszelkich możliwych zagrożeń.

Po zlustrowaniu terenu nadchodzącego starcia Fed doszedł do wniosku, że czas najwyższy udać się do sztabu generalnego. Postanowił wezwać oficerów i przekazać im odpowiednie dyrektywy. Książęce rozkazy były jednoznaczne: atakować do utraty tchu.

Wkrótce po rozesłaniu gońców i przybyciu do sztabu otoczył generała wianuszek oficerów, którzy złożyli sprawozdanie ze stanu zdolności bojowej swoich regimentów. Wysłuchawszy owych deklamacji, Fed rozpoczął własną przemowę:

– Rozkazy księcia są jasne, przejrzyste i nie pozostawiają cienia wątpliwości. To atak, panowie! – Oficerowie z powagą i zrozumieniem pokiwali głowami. – Atak na pełną skalę! – kontynuował Fed, zamazyście wymachując kartką papieru. Sugerował zebrany, że właśnie tam ma zapisaną książęcą wolę, podczas gdy w rzeczywistości depesza z rozkazami zdążyła się nieopatrnie zapodziać. – A oto moje bezpośrednie wytyczne co do dzisiejszego ataku. Zapraszam do mapy!

Oficerowie, zgrabnie jak na scenie baletowej, otoczyli Feda niczym primabalerinę wokół stołu, na którym leżała makieta obleganego zamku z oznaczonymi pozycjami oddziałów wojskowych. Generał, wymachując energicznie szpicrutą, zaczął tłumaczyć zawiłą sztukę kunsztu wojennego.

– Otóż, panowie, na prawej i lewej flance, tuż u podnóża tego i tego oto wzgórza, ustawimy pierwszy i trzeci regiment łuczników. Powiedzmy... trzy szeregi. Reszta oddziałów będzie czekać w odwodzie, aby w odpowiednim momencie uzupełnić luki powstałe w formacjach walczących. Ostrzelamy ich... – zrobił pauzę i dumnie wykrzyczał: – Ostrzelamy płonącymi strzałami! – I dodał już spokojniej: – W centrum natomiast, na tym oto wzniesieniu, proszę się uważnie przypatrzeć... – Fed wiercił szpicrutą wypukły element mapy, aż zrobił w nim dziurę. – Tu ustawimy pierwszy regiment piechoty. Na tym etapie bitwy to byłoby wszystko, panowie. Dowódcy wymienionych oddziałów proszeni są o niezwłoczne wykonanie przydzielonych im obowiązków. Chyba że nie wyraziłem się dość precyzyjnie i pozostają dla kogoś jakiejś niejasności... – zakończył, podejrzliwie rozglądając się po oficerach.

– Jeśli można, panie generale! – odezwał się dowódca jednego z regimentu łuczników.

– Proszę – odparł spokojnie Fed.

– Z całym szacunkiem, ale... jeśli pošlę moich ludzi pod wskazane wzgórze, znajdą się w idealnej pozycji do ostrzału z baszt nieprzyjaciela. Zostaną zdziesiątkowani! – oznajmił dramatycznie.

Pozostali oficerowie zmierzili go wzrokiem i spojrzeli na generała.

– Zdaję sobie z tego doskonale sprawę – odpowiedział Fed. – Wojna wymaga ofiar, pułkowniku!

– Ale... – Dowódca łuczników próbował jeszcze coś wskórać, jednak generał pozostał nieugięty:

– Ale czas pańskiej przemowy właśnie się skończył. Dziękuję i zapraszam na stanowiska. Czy ktoś jeszcze ma coś do zakomunikowania?

– Melduje się dowódca pierwszego regimentu piechoty, panie generale!

– Witam. Pana oddział także został desygnowany do udziału w walce. Gratuluję.

– Za pozwoleniem, panie generale: czy mamy przygotować drabiny do szturmowania murów?

– A czy w rozkazach było coś o drabinach? – Fed zrobił przesadnie zdziwioną minę i wybałuszył szare oczy.

– Nie, panie generale! Lecz jak będziemy szturmować mury zamku?!

– A kto mówi, że będziecie cokolwiek szturmować, pułkowniku?

– Ale... – zająknął się oficer.

– Ale czas pańskiej przemowy właśnie się skończył, dziękuję i zapraszam na stanowiska. Czy ktoś jeszcze ma problem ze zrozumieniem rozkazów? – zapytał nieco już zniecierpliwionym tonem Fed. Tym razem odpowiedziała mu cisza. – Doskonale. A więc do dzieła, panowie. Mamy bitwę do stoczenia!

Generał wyszedł z namiotu i udał się na opuszczone niedawno wzgórze, aby stamtąd sprawować pieczę nad nadchodzącą potyczką. Na miejscu gruntownie obejrzał pole walki za pomocą niebotycznie długiej lunety, którą pieśczośliwie nazywał Okiem Wojny. Ze swego punktu obserwacyjnego wychwycił, że oba regimenty łuczników znalazły się na wyznaczonych stanowiskach. Od tego momentu rozpoczęła się nierówna walka dystansowa: z jednej strony wystrzeliano salwy płonących strzał, które ginęły za murem

obleganej twierdzy, z drugiej strony strzały i bełty posłane z murów siały spustoszenie w szeregach Fedy. Niebawem wystawione do walki oddziały jego łuczników zostały przetrzebione o połowę.

Nagle generała dopadło dwóch gońców, którzy wręczyli mu karteczki od dowódców łuczników. Jak się okazało, pytali oni, czy należy posłać rezerwy w celu uzupełnienia luk w szyku. Fed wykonał dłonią gest nakazujący, aby posłańcy pozostali na miejscu, i skierował Oko Wojny na mury fortecy.

– Mam cię! – powiedział, dostrzegając czarny dymek wznoszący się nad basztą nieprzyjaciela. Błyskawicznie zanotował coś na pliku karteczek i zwrócił się do gońców:

– Proszę natychmiast przekazać te rozkazy do wszystkich jednostek. Odwrót taktyczny na całej linii na ustalone wcześniej pozycje!

Gdy gońcy zniknęli generałowi z oczu, spokojnie udał się w otoczeniu adiutantów do swojej kwatery.

Naraz podbiegła do niego zdyszana postać.

– Melduje się dowódca pierwszego regimentu piechoty, panie generale!

– Słucham – rzekł łagodnie Fed, wielce zadowolony z przebiegu dzisiejszych działań zbrojnych.

– Otrzymałem rozkazy o powrocie na pozycje wyjściowe, panie generale!

– Dokładnie. Sam je wydałem.

– Ale... rozkazy księcia, mieliśmy atakować!

– Przecież atakowaliśmy, czyż nie? – udał zdziwienie Fed.

– Tak, a...

– Czyżbym miał znowu usłyszeć z pana ust słowo „ale”? – Generał przybrał władczy ton głosu.

– Nie, panie generale! – zreflektował się oficer.

– A więc odmaszerować. Już... Już, już, już. – Fed wykonał gest, jakby strzepywał sobie brud z nadgarstków, i po chwili otaczali go tylko adiutanci. – Proszę się należycie przysposobić – odezwał się do jednego z nich. – Będę dyktował list do księcia. Później proszę przepisać go na czysto.

Adiutant pospiesznie sięgnął do kieszeni i wyjął z niej papier oraz pióro. „Doskonale” – pomyślał Fed, widząc jego gorliwość. „Nareszcie żadnych »ale«”. Z zadowoleniem zaczął dyktować:

– Wasza Wysokość... Nie, nie tak... Wasza Książęca Wysokość. Tak będzie dobrze. Otóż zgodnie z otrzymanymi rozkazami Waszej Książęcej Wysokości przystąpiliśmy niezwłocznie do bezpardonowego szturmu na umocnione pozycje wroga. Dzięki heroicznemu poświęceniu żołnierzy, którzy z radością oddali swe życie ku chwale Waszej Książęcej Wysokości, zadaliśmy wrogowi niewypowiedziane straty. Wciąż jeszcze widać nad oblężoną twierdzą łunę od szalejących tam pożarów. W tej chwili przegrupowujemy wojska w oczekiwaniu na dalsze wytyczne. Z poważaniem, uniżony sługa Waszej Książęcej Wysokości, generał Fed.

Kiedy generał dotarł do swojej kwatery, którą stanowił nad wyraz okazały namiot, rozsiadł się w skórzanym fotelu i nakazał adiutantowi nalać kieliszek koniaku.

– Nie ma to jak się troszeczkę odprężyć po dobrze wykonanej robocie – powiedział z niekłamaną satysfakcją Fed. Zdawał sobie sprawę, że rozkazów księcia nie należało lekceważyć. Jednak był świadom i tego, że obecny stan twierdzy oraz morale jej obrońców przekształciłyby najbardziej huraganowy szturm w druzgocącą klęskę. – I wilk syty, i owca cała, a zatem jeszcze

kieliszeczek... – rzekł do adiutanta i odprężył się w miękkim fotelu już na dobre.

Tymczasem należało przyznać, że dzisiejszy manewr taktyczny nie był odosobnionym przypadkiem w strategicznym podejściu Feda do prowadzonych przez niego kampanii wojennych. We wszystkich pięciu księstwach kontynentu Grostii słynął on z żołnierskiego drylu oraz niezwykle defensywnej taktyki, dzięki której nigdy nie przegrał żadnej bitwy. Co prawda, żadnej też jeszcze przez to nie wygrał, ale, jak sam powtarzał, nie można mieć w życiu wszystkiego.

Co zaś znamienne, defensywne podejście Feda w kwestiach militarnych przekładało się na ostrożność w jego życiu prywatnym i uczuciowym. Była to swego rodzaju filozofia defensywna czy, jak zwykł mawiać sam generał, wrodzona przezorność. Przykład takiej postawy stanowiła praktyka przedwczesnego odwrotu. Fed zawsze powtarzał, że lepiej jest wycofać się zbyt wcześnie niż wycofywać się, gdy jest już na to za późno. Dzięki tej strategii nie raz uratował swoją armię przed niechybną klęską. Lecz takie podejście miała mu za złe między innymi jego świętej pamięci małżonka, ponieważ nie mógł z nią przez to spłodzić potomka. Pocieszał ją, że dzięki temu nie spłodzi także bękarta. Generał Fed, mistrz odwrotu, uznawał ostrożność oraz powściągliwość za najwyższe cnoty i podstawy sukcesu w każdej dziedzinie.

Sielankowy nastrój przerwał generałowi kolejny zdyszany posłaniec.

– Czego tym razem?! – warknął Fed, zirytowany, że ktoś śmie mu przeszkadzać w zasłużonym odpoczynku. Goniec zasalutował, wręczył mu karteczkę i szybko z siebie wyrzucił:

– Depesza od księcia. Najwyższy priorytet, panie generale!

Fed wyszarpnął kartkę z ręki gońca i wskazał mu wyjście z namiotu. „Najwyższy priorytet nigdy nie wróżył nic dobrego” – pomyślał generał i otworzył list. Im dłużej go czytał, tym silniej marszczył krzaczaste brwi, zakrywające mu znaczną część niskiego czoła. Kiedy pochłonął wzrokiem całą wiadomość, zmiął kartkę w dłoni i z kwaśnym grymasem wykrzyczał do adiutantów:

– Wezwać mi tu natychmiast wszystkich oficerów! W trybie pilnym wracamy do stolicy Astorii!

III. ŁOWCY

Odkąd Set przybył na Kontynent Upadłych, wciąż nie mógł przyzwyczać się do monotonii i jałowości tej przeklętej, zapomnianej przez wszelkie istnienie krainy. Jej krajobraz zbyt silnie kontrastował z opuszczoną przez niego ojczyzną, gdzie próżno było szukać choćby skrawka jałowej ziemi.

Astoria, leżąca na kontynencie Grostii, skąd pochodził Set, słynęła z łagodnego klimatu: niemroźnych zim, niedokuczliwego lata, deszczu na prawie każdą okazję. Natura obdarzyła tamtejsze krajobrazy pokrytymi wieczną zielenią wzgórzami, schodzącymi w czarujące bujną roślinnością doliny. Te z kolei poprzesywane były zakolami leniwie płynących rzek i potoków. Wreszcie rosły tam lasy o tak bujnej wegetacji, że z powodu gęstego listowia było się w nich skazanym na podróż w półmroku.

Pod tym względem Kontynent Upadłych porażał wręcz odmiennością. Pogoda zmieniała się tu jak w kalejdoskopie, to obdarowując podróżnika

lodowatym chłodem, to przechodząc w falę pustynnego żaru. Zupełnie jakby tutejsza aura za nic miała aktualnie trwające pory roku. Co się tyczy ukształtowania terenu, był on równy jak stół do bilardu. Przecinały go strumyki, w których nie było widać ruchu, rzeźbiące teren jak siateczka zmarszczek. Znajdowały się tu krwawo-niebieskie głązy z migotliwą poświatą, wyglądające w tym pejzażu jak niewyciskane od tysiącleci czyraki. Wśród fauny dominowały lemingi, buszujące w trawie niczym wszy w psiej szczecinie i chyba niewiele lepiej od nich smakujące. Ostatecznie czary goryczy przepełniało nocne wycie kojotów – adekwatnej pieśni dla tej upadłej krainy.

Co prawda, Set słyszał, że w południowej części kontynentu leżą miasta. Lecz doszły go też opowiadki, że daleko na zachodzie znajdują się góry przecinające niebiosa i morza płonącej lawy. Żyją tam, a raczej wymierają, starożytne rody i nie brakuje oczywiście kanibali, wiedźm czy wilkołaków, a napotkanie żywego trupa jest dość powszechne. Jednak Set, zamiast wierzyć w to, co słyszał, wołał wierzyć w to, co widział. A widział wymarłą krainę i nie dawał wiary, że ktokolwiek mógłby w niej dobrowolnie pomieszkiwać.

Wielkie więc było jego zdziwienie, gdy po dwóch tygodniach podróży z Lili na smętnym horyzoncie zamajaczyły dwie ludzkie sylwetki. Mimo że w tych rejonach najprędzej spodziewał się spotkać upiory czy maszerujące ochoczo szkielety, ciekawość wzięła górę i zaintrygowany przyspieszył kroku ku tajemniczym postaciom. Kimkolwiek by nie były, znajdowały się one na linii wschód-zachód. Set żywił więc nadzieję, że Lili nie pociągnie go nagle za uzdę, wołając: „Prrr, koniku”. Baczenie nasłuchiwał w głowie kobiecego głosu, lecz ten się nie pojawiał.

Kiedy postacie również spostrzegły Seta, zatrzymały się i zwróciły w jego stronę. Najpierw wojownik zauważył, że jedna z nich jest o głowę wyższa od drugiej. Następnie, że trzymają się za ręce. A gdy znalazły się zupełnie blisko, dostrzegł, że są zakapturzone i ubrane w powłóczyste, brudnoszare szaty.

Już zamierzał się przedstawić, gdy zarejestrował ruch mniejszej postaci na wysokości piersi. Jego ręka odruchowo skierowała się ku głowicy miecza za pasem. W odpowiedzi większa postać raptownie wyciągnęła nóż i uskokczyła w bok, a druga zrobiła krok do tyłu, krzyżując ręce na wysokości klatki piersiowej.

– No to zatańczmy – wychrypiął Set. Wyjął miecz i zajął optymalną pozycję między przeciwnikami. Jednocześnie przeklął w duchu swą dziecięcą naiwność. Jak na tych bezdrożnych pustkowiach mógł spodziewać się czegoś innego niż przemoc?

Czekając na ruch zakapturzonych postaci, Set ocenił, że nie wyglądają zbyt groźnie. Skoro więc taka ich wola, niech same nadzieją się na jego ostrze. Jednak przeciwnicy również pozostawali w swoich pozach, bez żadnego ruchu. Chwila ta przeciągała się, aż nagle zza skrzyżowanych ramion mniejszej postaci dało się słyszeć zupełnie niespodziewany odgłos – płacz niemowlęcia.

Set oniemiał. Zrobił ostrożnie krok do tyłu. Powoli schował miecz i podniósł ręce, pokazując puste dłonie. Ten pokojowy gest musiał zrozumieć każdy.

Widząc to, większa postać schowała nóż i podeszła do mniejszej. Objęła ją czule, a kwilące zawiniątko ucałowała, zdawało się, w główkę. „W mordę, prawie ich pozabijałem” – przeklął się w duchu Set. Patrząc na swoje ręce, zastanawiał się, jakim prawem stąpał jeszcze po ziemi, skoro te przeklęte

dłonie gotowe były jeszcze tyle zła uczynić. Zmieszany, podrapał się po karku i odezwał do zakapturzonej pary:

– Przepraszam za nieporozumienie, wybaczcie... Czy mógłbym w czymś pomóc? Mam trochę suszonego leminga, a jeśli mielibyście kawałek drewna, to mogę wystrugać leminga dla dziecka. – Postanowił się zrehabilitować, aby zatrzeć pierwsze, nie najkorzystniejsze wrażenie.

Po tych słowach zakapturzone postacie zsunęły kaptury. Ta większa okazała się mężczyzną w wieku około trzydziestu pięciu lat, z długimi jasnymi włosami splecionymi w kok i obfitym zarostem o podobnej barwie. Mężczyzna miał też długi i prosty nos, wystające kości policzkowe oraz przenikliwe, błękitne oczy. Mniejsza postać była niezwykle piękną kobietą, dwudziestoparoletnią, z idealną, jaśniejącą blaskiem twarzą w kształcie łezki, delikatnym podbródkiem i zadartym noskiem. Była też posiadaczką intrygujących oczu o niespotykanej, płomiennej barwie. Okraszała ją burza ognistych loków, które wydawały się wręcz płonąć na jej głowie. Słowem, isticie zjawiskowa postać. Set po prostu nie mógł oderwać od niej wzroku. W pewnym momencie błękitnooki mężczyzna przemówił spokojnym i zdecydowanym tonem, wrywając go z niemal hipnotycznego transu:

– Z jakiej krwi jesteś?

– Krwi? – zdziwił się Set i postanowił rozwiać wątpliwości co do własnego pochodzenia. – Jestem z za Zimnego Morza. Pochodzę z kontynentu Grostii, a konkretnie z księstwa Astorii, a tutaj podróżuję. – Doszedł do wniosku, że na tym odludnym pustkowiu takie słowa stawiają go w pozycji człowieka światowego. Zastanawiał się, czy napotkana para nie będzie go zaraz błagać, aby podzielił się z nią opowieściami o pięknych księżniczkach,

wspaniałych krainach, tudzież heroicznym czynach zamorskich rycerzy. „No to szykuje się niezła biba przy ognisku” – pomyślał z pewną dumą.

– Ruszajmy, on nam nie pomoże – zwrócił się do kobiety mężczyzna.

– Zaraz, zaraz! – obruszył się Set, nie takiej bowiem reakcji oczekiwał.

– Ale w czym problem, w czym nie pomogę?

– Ścigają nas łowcy. Mają wierzchowce. Są o mniej niż dzień drogi stąd

– przemówiła kobieta.

„Cóż to był za głos... I dlaczego ta precudna bogini o rajskim szczebiocie nie mogła mówić odrobinę dłużej, choćby o pogodzie?” – rozmarzył się Set. „Ale, ale... ścigający ich łowcy? Czyli niezbyt dobrze” – zreflektował się i podrapał po brodzie.

– Łowcy... Jesteście ich zwierzyną łowną? To kanibale? – zapytał.

Niestety zamiast kobiety odpowiedział mężczyzna, na co Set nieco się skrzywił.

– Nie kanibale, a łowcy głów. Chcą tylko naszych głów. – Wskazał na siebie, kobietę i dziecko.

– Hm... – mruknął Set, nadal drapiąc się po brodzie, i w myślach ocenił: „Czyli równie kiepsko”. – Ilu ich jest?

– Nie wiemy dokładnie – odparł mężczyzna. – Poruszają się czwórkami. Tropią nas od wielu dni. Porozumiewają się za pomocą rogów. Wiemy, że jedna z ich grup jest coraz bliżej nas. Coraz wyraźniej słychać róg z południa.

– Z południa... – powtórzył z zadumą Set, który zdrapał już sobie skórę na brodzie prawie do krwi. Natomiast nazwa kierunku geograficznego przypomniała mu o milczącej Lili i jej obsesyjnym parciu na zachód. Jeżeli więc chciałby pomóc tym ludziom, to miałby dodatkowy problem ze swoją

towarzyszką. A czy chciał im pomóc? Przede wszystkim chciał pomóc samemu sobie. Zaś myślał, że okręci się na pięcie i będzie dalej prowadził swoje żalosne życie, podczas gdy w pobliżu spadną niewinne głowy, przyprawiała go o mdłości. Poza tym, ze względu na jego obecny potencjał bojowy związany z tajemniczą istotą w jego głowie, o śmierć w walce mogło wcale nie być łatwo. Set podjął więc prostą decyzję: tak, pragnie owych łowców pozabijać.

– Proszę, poczekajcie chwilę, nalegam – oświadczył stanowczo. Para spojrzęła po sobie i bez entuzjazmu pokiwali głowami na zgodę.

Set usiadł na ziemi i podjął w umyśle potajemną konwersację. Gdyby uczynił to na głos, mężczyzna z kobietą zapewne puściliby się w te pędy do ucieczki. Jednak nie było im to dane.

– Lili, najśłodsza – zagaił Set. – Co byś powiedziała na wycieczkę na południe? Ot, taki mały skok w bok. No wiesz, co mam na myśli, he, he... Każdy tego czasem potrzebuje...

– Idziemy na zachód – odpowiedział chłodno kobiecie głos.

„Spokojnie, to dopiero pierwsze rozdanie” – pomyślał Set. „Potasujemy karty i spróbujemy ponownie”.

– Wiesz, cukiereczku, moglibyśmy pomóc tym ludziom. Nic nie stracimy, a gdy zrobimy dobry uczynek, bogowie być może przychylniej na nas spojrzą i łatwiej nam pójdzie twoje zadanie. Co ty na to, kwiatuszku? – Set czuł, że jego infantylny wywód był trochę żalosny, czego dowodem okazało się uczucie lekkiego mrowienia w głowie. Widać Lili szybko traciła cierpliwość i przygotowywała się na swój popisowy numer ze skaczącą w mózgu błyskawicą. – Czekaj, czekaj! – krzyknął w myślach zdesperowany Set i raptem go olśniło. Ostatnia karta z talii i oto as. – Chciałaś uczyć się walczyć, prawda? A więc nadarza się idealna okazja na prawdziwy trening.

Poćwiartowanie łowców głów to jest dokładnie to, czego ci potrzeba. Zaufaj mi, wiem, co mówię. Zauważ, że do tej pory trenujemy tylko z powietrzem. Ile jeszcze chcesz walczyć z powietrzem? Co to w ogóle za przeciwnik, powietrze? – Set dał z siebie wszystko i czekał. Minęła dłuższa chwila, aż Lili lodowato odparła:

– Idziemy na południe.

– Kocham cię, Lili, kocham! – wykrzyczał uradowany Set i zreflektował się, że zrobił to na głos. Wstał i szybko przemówił do pary: – Nie, nie... Zapomnijcie o tym. Nic się nie stało. To taki radosny okrzyk z moich stron, rozumiecie? – Po ich minach było widać, że raczej nie rozumieją. Niezrażony Set kontynuował: – A więc idę na południe wypatroszyć nękających was drani. Wręcz nie mogę się tego doczekać. Daję słowo. Co wy na to? – Po tej deklaracji spojrział na czubki swoich butów, oczekując, że utoną w pocałunkach. „ Pewnie mogłyby być trochę czyściejsze, ale niebawem zapewne będą, he, he...” – Fantazjowanie na temat obuwia przerwał mu błękitnooki mężczyzna:

– Z jakiej krwi jesteś? – zapytał.

– Znowu to? Myślałem, że mamy ten temat za sobą – skrzywił się Set.

– Twoje oczy.

– Co z nimi?

– Mają rubinową poświatę.

„O w mordę” – pomyślał Set. „To jak nic przez tę istotę w mojej głowie. Najpierw kolczyki, a teraz to. Widać, ma jędra słabość do czerwieni”.

– To nic, to... zapalenie spojówek, jaglica... Mam jaskrę po dziadku... Ludzie, to takie ważne, kurwa!? Chcą was pozabijać, poobcinać głowy, macie tutaj dziecko, ogarnijcie się trochę! – gorączkował się Set, zły na parę za jej

małostkowość oraz brak wylewnych podziękowań za jego heroiczne wstawiennictwo. W odpowiedzi para odbyła krótką naradę, po czym błękitnooki mężczyzna, kłaniając się lekko, oznajmił:

– Jestem Tor, a to moja żona Wet.

– Bardzo mi miło – odpowiedział z uśmiechem Set. – A jak nazywa się maleństwo? – Próbował wychylić głowę niczym żyrafa, by dostrzec opatuloną główkę dziecka. Bez powodzenia.

– Mój syn nazywa się Ito – rzekł błękitnooki mężczyzna i dodał. – Idę z tobą.

– Nie ma mowy. – Set pokręcił głową. – Działam solo, a poza tym jestem tu nie od wczoraj. Samotna kobieta z dzieckiem nie ma tu prawa przeżyć. – Przeszło mu przez myśl, że z mężem też pewnie nie, ale dyskretnie to przemilczał. – Musisz ochraniać rodzinę, Tor. Nie ma dyskusji – zakończył dobitnie.

– Dobrze, niech tak będzie.

– A więc miło było was poznać, a teraz żegnam. Mam kilka głów do odcięcia! – Set uśmiechnął się szeroko, zupełnie jakby ścinanie głów stanowiło jego pasję, i skierował się na południe.

Naraz przystanął i z wolna odwrócił się ku uciekinierom. Para cały czas odprowadzała go wzrokiem, jakby nie wierząc, że rzeczywiście uda się na południe.

– Macie się dokąd udać? – zainteresował się Set. Zgodnie zaprzeczyli. – Dobrze... Gdybyście chcieli poszukać schronienia w Astorii, to jeżeli pójdziecie idealnie na wschód, po drodze napotkacie zgłiszcza po moich obozowiskach. Idąc tym szlakiem, przy odrobinie szczęścia dotrzecie do samotnego namiotu. Posuwając się dalej na wschód, natraficie na brzeg

Zimnego Morza. Odszukajcie tam opuszczoną wioskę rybacką. Co trzy miesiące przy pływa do niej statek. Żeby go zwabić, co noc rozpalajcie na plaży wielkie ognisko. Kiedy przy płynie po was szalupa, powołajcie się na mnie. Set, tak się nazywam. – Wysupłał z kieszeni cztery złote monety i rzucił kobiecie. – To na podróż, wystarczy z nawiązką. Potem będziecie musieli radzić sobie już sami. Bywajcie.

– Czekaj! – odezwała się naraz kobieta zwana Wet.

Set był kontent. Kilka złotych monet, aby jeszcze raz usłyszeć ten boski głosik, to niewygórowana cena. To były dobrze zainwestowane pieniądze.

– Dlaczego to robisz? – zapytała Wet.

– Dla Ito. – Set skinął głową na dziecko i ruszył na południe, więcej się już nie oglądając.

Kiedy oddalił się od pary z dzieckiem, przystąpił do opracowywania strategii względem spodziewanej niebawem potyczki. „Zastanówmy się” – rozpoczął rozważania. „Jeśli spojrzeć na moje ubranie, w tych brązowych skórkach będę widoczny na wiele mil. Ci łowcy natomiast posiadają przewagę liczebną, niewątpliwie mają łuki lub kusze. Otwarta walka więc odpada. Co prawda, ja także mam łuk, ale nigdy nie byłem dobrym strzelcem, dzięki czemu stałem się już żywą legendą wśród tutejszej populacji lemingów. Bywa... A co z zasadzką? Czy można by się gdzieś tu przycziąć? Hmm... Teren płaski jak deska. Wykopać dołek? Chyba na własny grób. Dobrze, zatem pozostaje ostatnia możliwość. Nocny atak z zaskoczenia. Bingo! Ognisko łowców będzie w mroku widoczne z daleka. Najpierw więc podbiegnę w jego okolice, potem podczołgam się, a następnie Alfred zaśpiewa im na dobranoc”.

Set maszerował, aż zaczęło zmierzchać. Wtedy na południu usłyszał brzmienie rogu. Odpowiedziało mu nieco cichsze – daleko na północy oraz z

zachodu. „Osaczają ich półksiężycem” – pomyślał o łowcach, biorąc pod uwagę położenie zasłyszanych rogów względem napotkanych uciekinierów. „A teraz zapewne zatrąbili sobie na drzemkę. Doskonale, czas na wyłom w ich szeregach”. Set puścił się truchtem na południe. W pewnym momencie zauważył zielonkawą poświatę. Podeszedł jeszcze trochę i zaczął się czołgać. Im bliżej był ogniska, tym czynił to wolniej i ostrożniej.

Gdy znalazł się o rzut kamieniem od płomieni, przycupnął, bacznie lustrując okolicę. Zauważył cztery przywiązane razem wierzchowce i zielonkawe ognisko otoczone przez cztery siedzące postacie. Jedynym szczegółem, jaki mógł wyłowić w skąpym świetle, były masywne turbany na głowach mężczyzn. Obserwował ich, czekając, aż udadzą się spać. Wtedy zamierzał zaatakować. Minęło jednak sporo czasu, a łowcy siedzieli nadal, jakby zahipnotyzowani tańczącymi w mroku płomieniami. Nikt się nie odzywał.

– Oni nie zasną. – Set niespodziewanie usłyszał kobiecy głos i zanim zdał sobie sprawę, że pochodził z jego własnej głowy, pokrył się zimnym potem. Ochłonawszy, zapytał:

– Skąd wiesz, Lili?

– Nie zasną – powtórzyła jak echo.

„Ech, to sobie pogadaliśmy” – westchnął w duchu Set. Lecz myśl, że mógłby tu ślęczeć aż do świtu, zmobilizowała go i postanowił ruszyć tyłek. W skupieniu podczołgał się do przodu. Zdjął z pleców młot bojowy. Położył go na ziemi i ucałował stalowe okucie jego głowicy. Tak przygotowany, wyszeptał w przestrzeń swego umysłu:

– Lili, jesteś gotowa?

– Zawsze – odpowiedziała chłodno jak zwykle. Choć tym razem w jej głosie wyczuwało się lekką nutę podniecenia.

– Dobrze wiedzieć. A więc ruszamy! Teraz!

Set chwycił młot bojowy i drąc się wniebogłosy, wystrzelił na przeciwników jak z procy. Uniósł śmiertcionośną broń nad głowę i wspomagany przez Lili uderzył w środek ogniska, posyłając na łowców chmurę rozżarzonych kryształów. Poderwał głowicę młota lekko nad ziemię i pociągnął nią po łuku, jakby grał w golfa, trafiając wstającą postać w czaszkę i rozbryzgując jej strzepy w przestrzeń. Następnie uniósł broń na wysokość pasa i uderzył w kierunku reszty łowców. Dwóch zdołało się uchylić, a trzeci otrzymał obezwładniający cios w tułów, gruchoczący mu żebra i posyłający go na ziemię jak szmacianą lalkę. Set znów uniósł młot do góry i z przerażającą szybkością spuścił Alfreda na czaszkę kolejnego przeciwnika, miażdżąc ją do szczytu kręgosłupa. Na ten widok ostatni z łowców rzucił się do ucieczki. Ruchem młota po łuku Set podciął mu nogi tak, że ten padł jak długi na brzuch. Zanim zdążył się podźwignąć, morderczy cios zmiażdżył mu kolano, a przeraźliwy krzyk odbił się echem po nocnej ciszy. Ostatnie uderzenie pełzający łowca otrzymał w plecy na wysokości serca, gdzie głowica młota przebiła się aż do ziemi.

Zapadła cisza, którą przerywało tylko ochryple rżenie gdzieś w mroku nocy. „A... to zdaje się pan, który ma kłopoty z oddychaniem. Niech go o to głowa nie boli, bo zaraz i tak ją straci” – powiedział w duchu Set. Dobył krótkie ostrze i ruszył ku przedagonalnym jękom.

Kiedy ranny łowca zauważył oprawcę, rżąc i krztusząc się, spróbował jakoś przemówić.

– Co tam bulgoczesz, hę? Nie znasz wspólnego języka? Pomyliłeś epoki, koleś? – zadrwił uzbrojony w krótki miecz mężczyzna. Odpowiedziała mu kolejna fala bulgotu. – Cóż, skoro i tak sobie nie pogawędzimy, to zróbmy to szybko i miejmy to z głowy. Pozdrowienia od Ito. – Set zawiesił miecz nad łowcą i siekł go bezlitośnie po szyi i karku, jakby obrabiał pniak drewna. Po chwili głowa łowcy odpadła od tułowia. Set podniósł ją za turban, który ciągle się na niej trzymał, i odezwał się cynicznym tonem:

– I jak, podobało ci się, Lili? – Odpowiedziała mu cisza. – Jak to? Nie podzielisz się wrażeniami z wujkiem Setem? Tę główkę dedykuję tobie, najmilsza. Wiesz... Jak by ją i tę pozostałą tak dobrze zasuszyć, to można by z nich zrobić eleganckie kolczyki. Kręci cię to? – Lili ciągle milczała. Set rozejrzał się po pobojowisku i dodał: – Mam nadzieję, że ci się jednak podobało, bo jeżeli pójdziemy dalej na ten twój zachód, pewnie będzie to częsty widok.

– Idziemy na zachód – oznajmiła lodowato Lili.

– Na zachód... – powtórzył Set i odrzucił głowę z turbanem na ziemię. Zdał sobie sprawę, że krwawa jatka nie zrobiła na jego towarzysze większego wrażenia. Przełomu w jej postanowieniu nie było więc co oczekiwać.

– Dobrze, ruszemy. Tylko porozglądam się trochę – powiedział spokojnie.

Najpierw podszedł do resztek ogniska i kopnął kilka tłących się zielonych kryształów. „Ciekawe” – pomyślał. Następnie przetrząsnął plecaki swych ofiar. Ostatecznie zdecydował zaopiekować się rogiem, który już słyszał, garścią zielonych kryształów do podpałki oraz plasterami suszonego mięsa, żywiąc nadzieję, że nie było ludzkie. Niestety na widok leminga miał już odruch wymiotny, więc desperacja wzięła górę i postanowił zaryzykować.

Potem podszedł do spętanych koni, wielce rad, że zdobył rozsądny środek transportu.

– Lubisz jazdę konną, Lili? – zapytał beztrąsko. Jego towarzyska nie odpowiedziała. Trzeba było przyznać, że niezwykle trudno było ją wciągnąć w najkrótszą nawet konwersację. – Lubisz, lubisz, a jak nie, to polubisz. Od dziś poruszamy się, moja droga, konno – dopowiedział sam sobie Set. Odwiązał pierwszego rumaka. Ustawił go łbem ku północy i zasadził mu potężnego klapsa w zad, aż zwierzę zarżało i pognało przed siebie. To samo Set uczynił z drugim wierzchowcem. „Przy dużej dozie szczęścia nasi uciekinierzy dostaną podwózkę” – pomyślał. Osiodłał pozostałe zwierzęta, usadowił się na jednym z nich i oznajmił Lili: – Mając dwa konie, będziemy poruszać się sprawniej. Odjedziemy stąd i prześpiemy się trochę przed wschodem słońca. Potem zaś, moja ty rzeźniczko, ruszymy dalej na ten twój zachód.

Ponownie odpowiedziała mu cisza.

IV. DAR-TOR

Przenikliwy chłód przeszedł niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w upalny skwar lata. Tor prowadził swoją rodzinę na północny wschód z mglistym cieniem nadziei, że oddalą się od łowców. Szli smagani gorącym wiatrem, głodni i spragnieni, zaszczuci niczym tropiona zwierzyna, nie wiedząc, na jak długo wystarczy im sił, aby wymykać się kolejnym obławom. W pewnym momencie Wet odezwała się do męża:

– Wiesz, że tam, dokąd zmierzamy, nie ma nic. Więc dlaczego?

Tor zadumał się. Popatrzył w nieskończoną przestrzeń po horyzont i pośpiesznie odparł:

– Na tym świecie nie ma już dla nas miejsca. Jedyne, co możemy zrobić, to spróbować przetrwać po prostu jeszcze jeden dzień... Gdziekolwiek. To wszystko.

– Nie mów tak. My możemy odejść, ale nie on. On musi żyć – odpowiedziała z głęboką wiarą Wet, wskazując na niemowlę w zawieszonym na jej piersiach nosidełku. Tor nic nie odpowiedział, więc Wet kontynuowała: – A ten wędrowiec? Wydawał się inny. Dlaczego nie pójdziemy za jego radą? Może dałoby to pewną szansę, a tu... Tu nie ma nic. – Rozpostarła szeroko ramiona, wskazując na wszechobecną pustkę.

Tor zatrzymał się. Chwycił żonę za ramiona i potrząsnął nią.

– To, że tamten wędrowiec miał oczy twojej krwi, nie znaczy, że nie był szalony. Widziałaś jego ozdoby w uszach? Powiedz mi: kiedy ostatnio spotkaliśmy tu kogoś, kogokolwiek, komu moglibyśmy zaufać?

Wet zastanawiała się, co odpowiedzieć. Gdy wtem kątem oka dostrzegła jakiś ruch w oddali. Zastygła jak kamień, uważnie się przyglądając, po czym uradowana wykrzyzczała:

– Patrz! Patrz! To konie!

Tor szybko przykucnął i pociągnął za sobą Wet. On również spostrzegł dwa ochoczo cwałujące rumaki. Wypatrywał nerwowo ludzkich sylwetek, lecz o dziwo ich nie zauważył. Natomiast Wet, uwolniwszy się z uścisku męża, wzniosła dziękczynnie ręce i ruszyła ku wierzchowcom, śmiejąc się głośno i krzycząc radośnie:

– To dar! To znak, abyśmy poszli za głosem wędrowca!

Tor wstał. Kompletnie nie wiedział, co o tym myśleć. Ale na tych najdzikszych pustkowiach pojawiła się nagle, niczym wyciągnięta spod ziemi, para rumaków.

– Chodź! No, chodź, Tor! – Wet dopadła pierwszego z dwóch siwych koni i z wielkim uczuciem czochrała go po bujnej grzywie. Jej mąż podszedł do niej i z powagą oświadczył:

– Z dwoma wierzchowcami możemy zrobić nawrót na zachód i przebić się z powrotem na Tęczowe Pastwiska.

– Nie! – rzuciła z pasją Wet. – Musimy opuścić ziemię, która nas przeklęła! Wędrowiec mówił o statku. Odplyńmy stąd, na zawsze!

– Wet...

– Zaufaj mi, choć raz, proszę cię! Ten jeden raz!

Tor poczuł niesmak. Nie powinna była tak mówić, powinna mu zaufać! To on był odpowiedzialny za rodzinę. On nosił to brzemie i to do niego należało podejmowanie trudnych decyzji. Wet w tym czasie wskoczyła na rumaka. Chwyliła za lejce i skierowała konia na wschód.

– Przestań się wygłupiać. Stój! – warknął Tor zirytowany zachowaniem żony. Kobieta pochyliła się ku niemu i jak matka tuląca do snu swoje dziecko szepnęła delikatnie:

– Ten jeden raz, Tor... Ten jeden raz...

– Mężczyzna zrobił minę, jakby miał przełknąć gorzkie lekarstwo, i odpowiedział:

– Dobrze... Ten jeden raz.

I ruszyli szlakiem wędrowca. Znaczyły go kopczyki spopielonych bobków gryzoni i resztki po wypatroszonych lemingach. Co pewien czas natrafiali na miejsca z niemilosiernie zrytą ziemią, poprzecinane wąskimi

wgłębieniami, tudzież obite niczym obuchem, wyglądające jak pobojuwiska po walce z duchami. Te obrazy mocno podkopywały wątłe zaufanie Tora, jakim darzył tajemniczego wędrowca. Tym bardziej przecierał oczy ze zdumienia, gdy po tygodniu podróży żona wskazała mu na horyzoncie samotną sylwetkę namiotu.

Tor dał żonie znak ręką, aby się zatrzymała. Zszedł z konia i udał się do tajemniczego przybytku. Przed wejściem leżały zasuszone zwłoki zmasakrowanej staruszki. Mężczyzna zawahał się przez moment i wszedł do środka namiotu. Po krótkim czasie wyłonił się z powrotem. Wspólnie z Wet spętali konie i zaczęli dokonywać oględzin opustoszałego siedliska.

„Do tej pory wszystko, co powiedział tajemniczy wędrowiec, okazało się prawdą” – myślał Tor, przegrzebując stare rupiecie. „Może więc rzeczywiście jest przed nami jakaś nadzieja. Być może za wielką wodą naprawdę czeka nowy, bezpieczny świat”. Wtem jego ręka natrafiła na przedmiot, którego nie mógł pomylić z niczym innym. Była to napięta cięciwa krótkiego łuku. Pod nią skrywał się kołczan ze strzałami oraz rzeźnicki nóż. Tor poczuł przypływ pewności siebie. Znowu posiadał broń, za sprawą której mógł siać zniszczenie wśród wrogów.

Wielce pokrzepiony udał się z nowymi skarbami do Wet, która krzątała się po drugiej stronie namiotu. Zauważył z zadowoleniem, że kobieta ustawiła garnek z wodą na palenisku. Obok leżały grzyby, zioła i suszone jagody. Torowi głośno zaburczało w brzuchu, choć posiłek nie zaczął się jeszcze gotować. Usiadł naprzeciw żony i uśmiechając się po raz pierwszy od wielu tygodni, łagodnie się do niej zwrócił:

– Niemal jak w domu, prawda?

– To dziś nasz dom, cieszymy się nim. – Kobieta odwzajemniła uśmiech i złożyła na ustach męża soczysty pocałunek. Tor objął żonę ramieniem. Już prawie zapomniał, jak to jest mieć dach nad głową i odpoczywać spokojnie ze swoją kobietą w ciepłe domowego ogniska.

Wkrótce zapadła noc, a wtulona w siebie para syciła się pierwszym od tygodni gorącym posiłkiem, wyjadając go z garnka. Kiedy opróżnili naczynie, zgasili przykopconą lampkę i położyli się zwróceniu ku sobie. Tor gładził czule płomienne loki Wet, podczas gdy ona nuciła pradawne pieśni z jej rodzinnych stron. W pewnym momencie mężczyzna pocałował żonę, jakby spijał z jej ust słodycz płynącej z wolna melodii. Muskał ją lekko wargami po szyi, ramionach, rozchylił jej koszulę i wtulił głowę między nagie piersi.

Łagodny śpiew wciąż wypełniał przestrzeń mroku i Tor w tej jednej chwili poczuł, że niczego więcej nie potrzebuje do szczęścia. Zdawał sobie sprawę, że ten stan lekkości nie był dla niego naturalny, a odbierane w tych okolicznościach uczucie szczęścia było mu niemal obce. Lecz tej nocy pozwolił sobie na bycie takim, jakim miał ochotę być, i dobrze się z tym czuł. Po pewnym czasie Wet umilkła i ukołysani ciszą, oboje usnęli.

Tor zbudził się z uczuciem parcia na pęcherz. Wyszedł z namiotu za potrzebą. Przywitała go noc oraz tajemnicza tarcza księżyca w pełni. Nabrał głęboko do płuc rześkiego powietrza. „Cudownie” – pomyślał. Naraz daleko na horyzoncie dostrzegł zielonkawą lunę. Zamarł. Odniósł wrażenie, że światło się przybliżyło. Przerwał wykonywanie fizjologicznej potrzeby i wbiegł do namiotu.

– Wet, obudź się, szybciej, są tutaj! – Gwałtownie potrząsnął żonę za ramiona.

Kobieta otworzyła wielkie, zaspane i przerażone oczy.

– Wet, to łowcy. Nadchodzą. Zostań tu. – Tor wcisnął jej w dłoń rzeźnicki nóż, a sam sięgnął po łuk i kołczan ze strzałami.

Przycupnął w pobliżu namiotu. Jego oczy zdążyły przyzwyczać się już do mroku. Dodatkowo światło księżycy w pełni pozwalało na względnie dokładne określenie odległości do strzału.

Ułożył strzałę na cięciwie i powoli ją naciągnął. Celował w źródło światła – pochodnię trzymaną przez jeźdźca. Nieopodal niego zobaczył jeszcze trzy jadące konno postacie. Wiedział, że nie może zwlekać dłużej. Przymierzył i wypuścił strzałę w przeciwnika dzierżącego pochodnię. Grot utkwiał mu w gardle, przynosząc szybką śmierć ofierze. Tor złożył się do kolejnego strzału i przeszył drugiego przeciwnika. Jednocześnie zorientował się, że został już dostrzeżony. Jeden z łowców ruszył z kopyta wprost na niego, a drugi puścił się pędem po łuku. Tor pospiesznie wystrzelił trzecią strzałę. Grot utkwiał w szyi nadbiegającego wierzchowca. Zraniony koń, rżąc przeraźliwie, stanął dęba i spowodował upadek jeźdźca. Tor odrzucił łuk. Wyjął nóż i skoczył ku leżącej na ziemi postaci. Zanim zdołała się podźwignąć, już szatkował ją nożem. Nagle usłyszał za sobą ruch. Odwrócił się. Był to ostatni z łowców, który okrążywszy namiot, zajechał Tora od tyłu. Ten nie miał już czasu na reakcję i zakrzywionym ostrzem dostał w pierś. Ścisnął otwartą ranę. Jego dłonie zalała krew. Czuł, jak błyskawicznie uchodzą z niego siły. Padł na ziemię i z trudem czołgał się do namiotu. Kiedy znalazł się przy nim, opadł bezwładnie na plecy. Był gotów na śmierć i chciał przyjąć ją godnie.

Łowca zeskoczył z konia. Podeszedł do Tora i postawił stopę na jego krwawiącej klatce piersiowej. Pochylił się i przeniósł na nią ciężar ciała, mówiąc coś w niezrozumiałym języku. Pod wpływem ucisku, ból zmieszany z brakiem tchu odbierał Torowi świadomość. Wtem łowca przestał mówić.

Znieruchomiał i padł na niego niczym ścięte drzewo. Ostatnim wysiłkiem ranny mężczyzna stoczył go z siebie. Na tle srebrzystej tarczy księżyca zobaczył ociekający krwią rzeźnicki nóż, trzymany przez kobietę o łopoczących na wietrze włosach. Rozpoznał w niej Wet, swoją żonę.

Następnie Torowi wydało się, że gdzieś spada. Odniósł wrażenie, jakby znalazł się wewnątrz zielonego płomienia, który rozmiarem dotykał szczytu niebios i pochłaniał cały świat. Przez moment przemknął mu obraz Wet wyciskającej z materiału krwawą wodę i na powrót poczuł, że coś go pochłania. Wydawało mu się, że znalazł się w komnacie, w której klęczała z uniesionymi rękoma jakaś majestatyczna postać, otoczona przez zielone języki ognia. Potem ponownie rozpoznał nad sobą twarz Wet. Wówczas doświadczył wrażenia, że zawładnęła nim potężna siła i porwała go niczym trąba powietrzna, targając nim okrutnie na wszystkie strony, aż wyrzuciła go do kadzi z czerwono-niebieską poświatą. Z tą chwilą Tor poczuł, jakby jego istnienie rozerwało się na tysiące drobnych kawałeczków. Wtedy stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, Wet siedziała przy nim i ocierała mu czoło kawałkiem tkaniny. Spróbował się poruszyć, ale wykrzywił się z bólu.

– Opatrzyłam cię – powiedziała z czułością Wet, widząc, że jej mąż się obudził. – Początkowo rana wyglądała bardzo źle, ale już zaczyna się goić. To prawdziwe błogosławieństwo, że znaleźliśmy się w tym namiocie. – Wskazała na korzenie i zioła, których użyła do sporządzenia leczniczych okładów. Troskliwie zapytała: – Jak się czujesz?

Tor z trudem wsparł się na łokciach i odezwał się:

– Jak długo byłem nieprzytomny?

– Dwa dni.

– Musimy natychmiast wyruszyć. – Złapał Wet za ramię.

– Ale jak? Jesteś ranny – zafrasowała się.

– Dam radę, muszę, inaczej zjawią się tu kolejni łowcy. Udamy się szlakiem tamtego wędrowca. Jeżeli mówił prawdę, konno dotrzemy do morza w dwa tygodnie.

– Jesteś słaby, musisz coś zjeść, odpocząć. – Wet złożyła dłonie w błagalnym geście.

– Nie ma na to czasu. Będę odpoczywał w nocy. Teraz musimy jak najszybciej stąd odjechać. Koniec dyskusji. Przygotuj wszystko, natychmiast.

Wet pochyliła głowę i wstała, aby wypełnić wolę męża.

Niedługo potem brnęli w skwarze ku jednemu możliwemu wybawieniu, jakim zdawało się dla nich wybrzeże Zimnego Morza.

V. KOCIOŁ

Od pamiętnej krwawej jatki z łowcami Set postanowił, że będzie milczał. Milczał niczym grób, z którym sam nieraz się utożsamiał. Miał Lili za złe, że nigdy nie zabierała głosu jako pierwsza. Chyba żeby mu wydać rozkazy: „rozbij obóz”, „ćwiczymy walkę”, „złap leminga”, „idź na zachód”, „uważaj, nie włącz w gówna, to teraz także moja stopa”. Aby wydusić z niej cokolwiek innego, musiał nieustannie ciągnąć ją za język, a język ten nie należał do zbyt wyrafinowanych. Lili uznawała równoważniki zdań za szczyt elokwencji, a ton jej głosu był wiecznie wyzuty z wszelkich emocji. Wydawała

się nie mieć żadnych dylematów, rozterek, pytań czy wątpliwości. Set postanowił zatem poczekać, aż jego towarzysza wreszcie pęknie i sama się przed nim otworzy. Dlatego milczał.

Mijały jednak kolejne dni, a Lili odzywała się tylko w razie korekty kierunku czy wydania innego rozkazu. Tymczasem wobec wszechogarniającego letargu siła postanowienia Seta o podtrzymaniu ślubów milczenia topniała tak intensywnie jak śnieg pod jego stopami, który gwałtownie ustępował przed atakiem tropikalnych upałów. Zdesperowany Set usprawiedliwiał się tym, że skoro podejmował już inicjatywę w rozmowie z koniem, to dlaczego nie z głosem w swojej głowie? Inaczej tylko patrzeć, jak z braku alternatywy nawiąże dyskurs ze sznurówkami butów bądź wda się w filozoficzną debatę z mijanym kamieniem. Dlatego w końcu przemógł się i postanowił brać, co świat mu daje, skoro w jego przypadku najczęściej zwykł zabierać. Pewnego dnia, jakby nigdy nic, po prostu odezwał się do Lili, marudząc, jak to miewał w zwyczaju:

– Daleko jeszcze, landrynko ty moja? Ten upał tak mi doskwiera, że padam na twarz z wyczerpania. – Set bynajmniej nie czuł się zmęczony, ale nieudane próby wzbudzenia litości u Lili pozostały najwyraźniej jego nawykiem.

– To rozbijmy tu obóz i położysz się wcześniej spać. Dziś nie będziemy też ćwiczyć walki.

Na te słowa Set zrobił wielkie oczy. Do tej pory Lili nigdy nie zaprzętała sobie głowy jego zmęczeniem, zżerającym go od środka głodem czy klejącymi się od niewyspania powiekami.

– Od kiedy to jesteś taka łaskawa, rusalko ty moja?

– Może od dziś... – odparła kokieteryjnie. Set zrobił tak zdziwioną minę, jakby zauważył, że niedyskretnie zeszczął się w gacie. – Zamiast gadać, lepiej rozpal ognisko i zjedz leminga. Tylko nie przesól jak ostatnio, fuj...

– Nagle wyrosły ci kubki smakowe? – zdumiał się Set. Do tej pory mógłby przeżuwać podeszwę buta, a jego towarzysze nie robiłoby to różnicy.

– Może wyrosły, może od wczoraj. – Lili się zaśmiała i zanuciła jakąś melodię.

W końcu Set otrząsnął się z pierwszego szoku i rozpoczął rozkładanie obozowiska. Kompletnie nie wiedział, co sądzić o przepoczwazzeniu się Lili z emocjonalnego trupa w wypowiadającą się w cywilizowany sposób osobę. Z jednej strony tego od niej oczekiwał, ale gdy do tego doszło, niespodziewanie nappełniło go to dodatkowym lękiem i niepewnością. A kiedy siedział już przy ognisku, obgryzając leminga, którego Lili tym razem sama posoliła, kradnąc mu bezwstydnie ciało, jej głos rozbrzmiał ponownie. Przy czym wszystkie słowa wyszeptywała głosem tak uwodzającym, nasączającym każdą sylabę ciepłem i błogością, że Set poczuł, jak zjeżyły mu się włoski na karku.

– Jaki chłodny wieczór, chyba zanoszą się na burzę śnieżną. Och, jakże żałuję, że nie mogę otulić cię kocem z tygrysiich skór. Mrau...

– To naprawdę ty, Lili? Może jesteś chora?

– Hej! Pobudka! Nikogo więcej tu nie ma! – krzyknęła roześmiana, dodając wyniosłym tonem niczym udzielna księżna: – A ja mam się doskonale. Ale dziękuję za zainteresowanie, doceniam to.

Zmieszany Set pokręcił głową. Temperament Lili wybuchł niczym drzemiący od wieków wulkan, który nadrabiał przydługi sen, wyrzucając z siebie potoki ognistej lawy, a w przypadku jego towarzyszki całą gamę

przeróżnych emocji. Zasypiając tej nocy, Set czuł się dziwnie, zupełnie jakby położył się spać z inną osobą.

*

Mijał właśnie miesiąc, odkąd wyruszyli na zachód, i jałowy krajobraz ulegał radykalnej przemianie. Akurat rozpoczynało się lato i coraz częściej doświadczali ciepłych, wilgotnych dni, a rzadziej suchości i chłodu. Czyli dokładnie tak, jak powinno to wyglądać. Wraz z pogodą zmieniała się fauna i flora. Pojawiały się iglaste drzewa, a z czasem całe liściaste zagajniki. Zamiast lemingów Set spróbował smaku zajęcy, które kicały ochoczo po okolicy. Dotarli też do całkiem okazałej rzeki.

Set mijał bujne krzewy, kwitnące łąki, z upodobaniem wsłuchiwał się w różnorodny śpiew ptaków. Czuł się niemal jak w rodzinnych stronach, ale, co go niezmiernie zaskoczyło, nie przyprawiało go to jak zwykle o chandrę czy samobójcze myśli. Wręcz przeciwnie. Po wrażeniach ostatnich tygodni chłonał każdy nowy dźwięk, każdy zapach. Zanurzał się w nich bez pamięci i był w doskonałym humorze. Kiedy ostatnio tak się czuł?

– Cudnie, nieprawdaż, Lili? – zagadał, wciągając głęboko do piersi powietrze pełne najrozmaitszych woni.

– Ładnie, kolorowo – odpowiedziała, znowu jakby trochę nieobecna. Set zaś rozmarzył się już na dobre.

– Jeżeli tak dalej wygląda ten twój zachód, to oznacza, że prowadzisz nas do rajy, ha! Lili, rodzynko ty moja, nie można tak było od razu?

– Wygląda różnie – odparła rezolutnie.

– Zachód wygląda różnie? – zainteresował się Set, któremu to stwierdzenie zmąciło nieco podniosły nastrój.

– Tak... O, zobacz, jest miejsce na przeprawę – pisnęła Lili.

Set zauważył dyndające, przewiązane sznurem kładki prowadzące z jednego brzegu rzeki na drugi oraz dwie przeciągnięte liny służące jako poręcz. „A więc przeprawmy się” – pomyślał. Zeskoczył z konia i podszedł do prowizorycznego mostu. Postukał butem w najbliższą deskę, potem kolejną i oświadczył:

– Wygląda to w miarę przyzwoicie. Może trochę huśtać, ale powinniśmy spokojnie przejść, o ile nie spłoszą się koniki.

– Zatem ruszajmy! Wio! – krzyknęła z entuzjazmem Lili.

Przed wejściem na most Set rozejrzał się wokół, szukając wzrokiem czegoś, co mogłoby zaniepokoić rumaki. Gdy nic takiego nie dostrzegł, zaczął przechodzić na drugi brzeg. Rzeka nie była tu ani zbyt rwista, ani zbyt głęboka, co okazałoby się jednak marnym pocieszeniem w razie upadku. Problem był innej natury. Most wisiał bowiem wysoko nad poziomem wody i spadnięcie z niego byłoby makabryczne w skutkach.

Kiedy Set doszedł do środkowych kładek, mostem zaczęło coraz mocniej bujać. Jeden z rumaków zarżał i zatrzymał się.

– Marchewka jest na drugim brzegu, obiecuję. Chodź, sam sprawdzisz – próbował oczarować opornego konia Set. O dziwo, z pozytywnym skutkiem, ponieważ koń ruszył i mała karawana posuwała się naprzód. Gdy mężczyzna postawił stopę na twardej ziemi, odetchnął z ulgą: – Doskonała robota – powiedział i obejrzał się na konia. Miał wrażenie, że ten spogląda na niego z pewnym wyrzutem. – A... marchewka? – Set podrapał się po głowie. – Ooo... Tam gdzieś na pewno jest. Chodź, chodź, poszukamy! – Pociągnął za sobą wierzchowca.

Wtem poczuł, jak grunt zapada mu się pod stopami. Puścił uzdę i machając rozpaczliwie rękoma i nogami, gwałtownie spadał, aż upadł na twarde podłoże, z którym kontakt nie okazał się zbyt przyjemny.

– Moja dupa... – wyjęczał.

– Wygląda to na pułapkę – stwierdziła oczywisty już fakt Lili.

– Taa... – przytaknął Set i ocenił swoje położenie. Wysokość dołu wynosiła prawie dwadzieścia stóp, średnica około dziesięciu, a u szczytu szczyrzył się, zapewne z satysfakcji, koński łeb. – Po prostu doskonale – mruknął pod nosem obolały mężczyzna. – Wiem. To kara od losu za marchewkowe kłamstwo. Lili, jak stąd wyjść? Możesz użyć jakiejś... mocy?

– Jakiej?

– Nie wiem jakiej. To nie ja jestem wiedźmą! – W obliczu kłopotów Set szybko się irytował.

– Nie jestem wiedźmą, bystrzaku.

– Nie pomagasz.

– Więc postaraj się.

– A zatem dobrze. Jak zawsze zdany jestem tylko na siebie. A miało być tak pięknie: latające motylki, kwitnące kwiatuszki. Ech, życie... – westchnął. W tym momencie obok końskiej głowy zobaczył głowę chłopca. – Hej, czekaj! – krzyknął Set, zaskoczony pojawieniem się nowej postaci. Tajemnicza chłopięca głowa zniknęła tak szybko, jak się pojawiła. – On też nie pomaga – mruknął Set. – O czym to ja...? Ach tak, zdany tylko na siebie... Właśnie, dokładnie tak.

Na nowo starannie obejrzał tunel. Wyjął z kieszeni kurtki nóż i podźgał ziemię. „Dobrze, nawet bardzo dobrze” – pomyślał. Ziemia była tu bardzo zbita, ciasno poprzeplatana korzeniami. Wyjął drugi nóż i postanowił użyć obu